ZEW

Numer podwójny.

15
listopada
1933 r.

Państw. Gimn. IV. im. H. Sienkiewicza w Krakowie.

ROK I. ZEW NR. 4-5.

Czasopismo Młodzieży Państw. Gimnazjum IV. im. Henryka Sienkiewicza

Kraków, dnia 15 listopada 1933.



Jan III Sobieski, wielki król polski (1674—1696) pogromca tureckich hord, oswobodziciel Wiednia—wielki wódz, obdarzony nadzwyczajnemi wprost zdolnościami strategicznemi. Ostatni bohaterski król na polskim tronie. Człowiek prosty i szczery. Typ Polaka — obywatela i patrjoty.

OD REDAKCJI.

Oto znów macie przed swemi oczyma numer »Zewu« — pierwszy w tym roku numer *naszego* szkolnego pisma. Chce ono być Waszym przyjacielem, towarzyszem — nie odtrącajcie go — poznajcie się z nim bliżej, a zobaczycie, że zaciekawi Was. Od Waszego poparcia i od Waszej współpracy z redakcją zależy istnienie »Zewu«. Jeśli nie chcecie aby nas wytykano palcami i mówiono: ludzie bez woli i bez energji — to pracujcie zgodnie i ofiarnie. »Zew« musi się stać pismem godnem współzawodnictwa z wydawnictwami innych zakładów. Musi im przodować. Ale to tylko od Was zależy.

Wyruszamy do pracy z hasłem: Wszyscy pod sztandar »Zewu« !

Redakcja.

WARSKI JULJUSZ.

JAN III SOBIESKI.

W chwili gdy Polska zniszczona najazdami, chyliła się do upadku, gdy sama szlachta swemi walkami pchała Ojczyznę w przepaść zjawił się mąż silny, który potęgą swego czynu potrafił powstrzymać chwilę zgonu Państwa, odsunąć ją na dalszą metę a zabłysnął jeszcze raz Europie przed oczyma krzywą szablą, zdobywając nią uznanie i ratując honor Narodu. Mężem tym, który wskrzesił tradycje przedmurza chrześcijaństwa był Jan III Sobieski.

Aby zrozumieć tę postać naprawdę piękną, postać uosobiającą w sobie naród polski, oddającą wiernie jego charakter, trzeba wczuć się w nią, trzeba poznać istotę czynów Sobieskiego, trzeba ocenić je bezstronnie lecz sumiennie, łącząc je z tłem stosunków XVII wieku w Polsce. Trzeba z właściwej strony rozpatrzeć głęboką miłość do Marji Kazimiery, miłość, która stała się przekleństwem jego wystąpień. Obraz bez cieniów byłby jedynie martwą płaszczyzną płótna, pokrytego rojem barwnych plam. Brakowałoby mu plastyczności, podkreślenia stron pięknych, siły wyrazu, życia... Człowiek doskonały, znuży nas swą jednostronnością, brakiem miejsc ciemnych któreby siłą kontrastu podniosły jego czyny szlachetne, wielkie, dodały im polotu. Tę grę przeciwieństw bardzo silnych, grę interesującą, mało, grę porywającą, przykuwającą uwagę i każącą śledzić krok po kroku, obserwujemy u Sobieskiego. Magnat żyjący w zdeprawowanem społeczeństwie polskiem wsiąka w nie, przyjmuje jego szatę jest typem rozrzutnego nie liczącego się z niczem bogacza, posiadającego jednak czasem gesty piękne. Lecz w głębi serca tego człowieka tli się, pieczołowicie, może bezwiednie chroniony, ogień miłości Ojczyzny. I gdy ona jest w niebezpieczeństwie płomieniem obejmuje duszę, niecąc w niej zapał walki o słuszną sprawę. Znikają właśnie partyjne padają w gruzy urazy i niezgody. Otwarta dłoń wyciąga się ku wrogom widząc cel jeden przed sobą: »Salus Rei Publicae suprema lex« Ziemia ukochana w niebezpieczeństwie — więc trzeba ją chronić, kładąc swe życie w ofierze na ołtarzu molocha wojny. Poznawszy, musimy ukochać tę postać prawdziwego Polaka, nieskrytego, wylewnego, szczerego, nie umiejącego spiskować i wpadającego przez to w tysiączne kłopoty. Musimy ukochać jako symbol potęgi polskiego charakteru, symbol siły niespożytej Narodu.

II.

Skąpane w blaskach promiennego władcy niebios roztocze stepów Ukrainy niejednego bohatera wykołysało smętną melodją dumek.

Wolna kraina wolnych ludzi, leżąca na dalekich kresach południa Rzeczypospolitej, żyjąca w ogniu walk o byt,

walk zaciętych, śmiertelnych, wychowała typ rycerza — zagończyka, silnego, bystrego, typ sokoła stepów. W dźwiękach rzewnych, jak łkający między szuwarem wicher, pieśni, sławiących bohaterów dalekich wypraw kozackich, hartowały się młodzieńcze dusze i przejmowały głęboką nienawiścią do hord z pod znaku półksiężyca.

W tej dziwnej i niesamowitej atmosferze kresowych podań i legend wzrastał Jan Sobieski. Na każdym kroku spotykał krwawe ślady najazdów pogan z nad Czarnego Morza, każda piędź ziemi wołała krwią zabitych o pomstę nieludzkich krzywd o karę dla zbrodniarzy. W sypialni bohatera z pod Żółkwi i Cecory, jak świadectwo mordu, jak pamiątka śmierci rycerza bez skazy wisiał skrwawiony, zrąbany ciosami jataganów płaszcz. A w mrokiem osłoniętem wnętrzu kościoła, na czongu marmurze grobowca zdały się gorzeć głoski napisu: »O quam dulce et decorum est pro patria mori:« Po wyjściu ze szkół Nowodworskich w Krakowie ruszył Jan z bratem w świat szeroki uczyć się u obcych tego, czego w kraju znaleźć nie mógł, uczyć się sztuki życia nie tylko dla siebie, lecz dla społeczeństwa, życia dla Ojczyzny i narodu. Podczas wędrówek przez dalekie kraje wciąż brzmiały mu w uszach słowa ojca: Bodajście na koniach tańcowali, bijąc Turki i Tatary«. Szkolił się więc w sztuce wojowania... Wróciwszy na wezwanie matki do kraju zastał ojca w grobie. Młodzieniec wespół z bratem stał się dziedzicem olbrzymiego majątku, objął starostwo jaworowskie, wkroczył na kamienistą drogę życia politycznego Z własnemi chorągwiami ruszył do walki z Chmielnickim. Odchodził z błogosławieństwem matki. Oto słowa które wypowiedziała wskazując mu na tarczę herbową Sobieskich: »Z nią albo na niej«. Po tragicznej śmierci brata pod Baldem, Jan został jedynym spadkobiercą bajecznej fortuny i mścicielem trzech potężnych rodów: Żółkiewskich, Daniłłowiczów i Sobieskich Po skończeniu wojny moskiewskiej przybył Sobieski do stolicy, życie której miało na długo przytłumić pamięć o zemście i zgasić blask cnót rycerskich młodego magnata. Warszawa stała się grobem dobrej opinji Sobieskiego. I choć w przyszłości zajaśnieje blaskiem wojennej chwały to blask ten nie zwalczy w zupełności nieufności narodu do niego. W Warszawie wybuchła jego miłość, miłość żywiołowa gorąca bezmierna. Poznał piękną dworkę królowej, Marję Kazimierę d'Arquien i jej ofiarował swe serce w dani.

Rokiem hańby dla Sobieskiego był rok 1655. Gdy ojczyzna cała zerwała do boju z lwem północy on wytrwale stał przy boku Karola Gustawa a opuścił go dopiero, gdy jasnem było, że Szwedzi ustąpić muszą.

Jan Kazimierz wybaczył odstępcom ich winę a chcąc dać dowód swej łaski nadał im wysokie urzędy. Sobieski został chorążym koronnym.

Polska wysiłkiem tysiecy wyrwała się z oplatających ją ramion polipa, potężnem uderzeniem odrzuciła go od siebie i choć osłabła po krwawych zapasach mogła jednak spokojnie spojrzeć w przyszłość. Szerokie horyzonty roztoczyły się przed kroczącym śmiało naprzód narodem. Lecz tu, na dalekie perspektywy narzuciła czerń kiru nielitościwa ręka przeznaczenia. Szlachta wpadła w sieć intryg, które jej zagładę przynieść miały.

Sobieski powolny zupełnie pani swego serca był bezwzględnym stronnikiem Francji. Zaplątawszy się w krępującą go linę miłości, nie miał siły zdobyć się na czyn stanowczy, wydobyć się z błota przekupstwa w które wpadł niebacznie. Strumienie złota płynęły z Francji do Polski i sumiennie rozdzielane przez królową znajdowały ujście w nienasyconych trzosach szlachty.

Czerpał z nich i Sobieski.

Wyraźnie zarysowały się chorobliwe ówczesne stosunki w Polsce na tle ro-

koszu Lubomirskiego. Sobieski otrzymał po nim marszałkostwo, a wkrótce potem buławę hetmana wielkiego koronnego. Jan Kazimierz abdykował, sterany walką z najeźdzcami i własnym narodem i usunął się w słoneczną ciszę winnic Francji, by ukoić ból wspomnień męczeńskiego życia. Nadeszła chwila stanowczego starcia stronnictw w Polsce rozstrzygającego pojedynku wpływów Francji i cesarza. Społeczeństwo rozgorączkowane z niepokojem spoglądało w przyszłość. Sobieski wiernie wspierał partję dworu francuskiego. I nagle w czasie elekcji, wbrew przewidywaniom, szlachta znużona już atmosferą przekupstwa, wyniosła na tron polski, Michała Wiśniowieckiego, człowieka zupełnie na ten urząd nieodpowiedniego.

III.

Z roztoczy Dzikich Pól, płynął poszum dziwny, grozą przejmujący, straszny... Kolumny wojsk kozacko-tatarskich płynęły nieprzerwaną rzeką, topiąc i niszcząc spotkane po drodze zamki, osiedla i miasta. Granice Polski stały otworem, pozbawione obrońców. I tu po raz pierwszy zabłysła w całej pełni gwiazda Sobieskiego. Z nieliczną bo 10.000 liczącą armją, ruszył wódz bohater na pogańską dzicz.

I po śmiertelnych zmaganiach zwyciężył. Aby podkreślić swą moc, ruszył w pościg za uciekającymi czambułami.

Niebezpieczeństwo było chwilowo odparte. Sułtan nie zrezygnował jednak ze stanowczej walki z Polską. Nie zdoławszy pokonać jej wojskami lenników, ruszył sam z doborową armją, aby zadać Rzeczypospolitej ostateczny cios w serce. Naród jednak nie przygotował się do walki z półksiężycem.

Swary zaćmiły umysły szlachty, nie pozwalając jej wyjść poza ciasne ramy polityki wewnętrznej. Sejm rozszedł się po zawziętych kłótniach nic nie zrobiwszy. Sułtan ogniem i mieczem niszczył południowe granice kraju. Sobieski poraz drugi ruszył w wir walki z garścią prawdziwych rycerzy, bronić swej ziemi i zagrożonej wolności. Poraz drugi wrócił zwycięzcą, rozbiwszy czambuły tatarskie. A za bohaterem płynął szept dziesiątek tysięcy uwolnionych z jasyru rodaków, szept miłości i uwielbienia. I znowu blask jego zwycięstwa zgasił haniebny traktat buczacki czyniący Polskę lennem państwem sułtana.

Beztroska szlachta pławiła się w powodzi walk wewnętrznych, całe upodobanie znajdując w kłótniach wzajemnych poświęcając waśniom życie, majątek i honor,

Turcja wydała wojnę Polsce. W obliczu śmierci podniósł się z upadku naród i poraz pierwszy od lat wielu zgodnie wystąpił do walki. Szukano wodza naczelnego i oczy wszystkich zwróciły się na Sobieskiego. Ten znany już w Europie pogromca wojsk Mahometa zyskał w tej chwili serca ogółu. Chwycił więc akcję wojenną w swoje ręce i ukoronował ją zwycięstwem Chocimskiem (1673).

Sława czynów hetmana spływała na ziemię polską, dając jej gwarancję pokoju, potęgi. Na progu ojczystych zagonów zbrojny szablami tysięcy, stał On i dzierżył straż.

W Warszawie biły dzwony. Król Michał umarł.

IV.

Upadły stronnictwa. Z nad elekcyjnego pola głos do ryku spiżu podobny wzniósł się w błękit niebiosów i z pod lazurowej kopuły spłynął na całą krainę. Od sinych fal Bałtyku po szczyty Tatr i zroszone krwią bezdroża Podola dźwięczały tryumfalne słowa: »Vivat Joannes Rex«.

Nie mógł zaznać spokoju Sobieski w czasie swego pełnego sławy panowania. Wkrótce po elekcji ruszył na zagrożone Podole i odparł pierwsze ataki Turków. Wojna rozstrzygająca była jednak nieuniknioną. Dlatego też natychmiast zabrał się władca do przysposobienia kraju na krwawe igrzyska.

Szlachta, jak zawsze na każdym kroku robiła trudności, osłabiając siłę oporu, przekreślając niejednokrotnie śmiałe plany króla.

Pomimo tego zapał jego nie wygasał. Gotowy na największe poświęcenia czynił wszystko co mógł, by zgnębić sułtana. Boje pod Lwowem, toczone w strasznych warunkach były egzaminem zdolności Jana III, zdanym chlubnie. Pomny na hańbę traktatu buczackiego, postanowił go znieść, rzucić w niepamięć.

Dokonał tego w sławnych bojach żórawińskich.

W tym czasie nastąpił niespodziewany zwrot w polityce króla. Ten zdecydowany przeciwnik cesarza wyciągnął nagle ku niemu otwartą prawicę, odtrącając przyjaźń potężnej Francji. Dominującą niemal tutaj rolę odegrała piękna Marysieńka. Mszcząc się za poniżenie jej rodziny we Francji, całą uwagę skupiła na tem, by odsunąć Sobieskiego od wpływów dworu Ludwika XIV. Powiodło się jej, śmiałe przedsięwzięcie. Wsparciem dla niej było wykorzystanie niekorzystnych sytuacyj, wypływających z walki z cesarzem. Sobieski zrozumiał, że w obecnej sytuacji dogodniejszą będzie dla niego przyjaźń cesarza niż dalekiej ojczyzny Marji Kazimiery.

Same bolesne ciosy spadały na Jana III-go. Plan małżeństwa syna z Radziwiłłówną nie powiódł się, atak na Prusy został odparty, afera Morsztyna wyjawiła matactwa polskich dyplomatów. Król zgnębiony niepowodzeniami nie miał już sił do walki z niemi.

Nadszedł rok 1683, jaśniejący tęczą ponad historją niepodległej Polski. Szczytowy wysiłek Sobieskiego, dał owoce wspaniałe. Odsiecz Wiednia stała się najpiękniejszą kartą nowych dziejów, dała dowód, że nie zamarł duch rycerstwa polskiego narodu. Skrwawiony mur szabel zasłonił stolicę cesarstwa a na jego szczycie stał Sobieski, w prawicy dzierżąc promienny znak krzyża, stopą gniotąc godło zastępów azjatyckiej dziczy. Straszna klęska złamała potęgę Turcji, zgniotła ją zupełnie, zmuszając raz na zawsze wyrzec się myśli o zawojowaniu Europy. Dumny kark mahometan, ugiął się pod naciskiem żelaznej stopy obrońcy chrześcijaństwa. Na ustach całej Europy brzmiało imię Jana III-go. Lecz to był ostatni wyczyn bohatera, wyczyn najświetniejszy. Gnębiony waśniami szlachty, niepowodzeniami, wojennemi wyczerpany chorobą, zmarł król rycerz w 1696 roku w Wilanowie. Naród dopiero teraz zrozumiał, że stracił najlepszego towarzysza, rycerza i władcę.

Z głębi serc dobyła się rzewna skarga, skarga na zawistne losy, zabierające z tronu państwa, człowieka bez skazy, człowieka który mimo wad narodu, ukochał go i dał mu w ofierze rzecz najszczytniejszą, najtrudniejszą do zdobycia — sławę bohaterów krzyża.

Sobieski a Piłsudski.

Dziadowie nasi wśród zamętu rozbiorów i życia w niewoli przyzwyczaili się widzieć w osobie króla Jana III. Sobieskiego ostatniego w niepodległej Polsce króla — bohatera, który umiał rządzić, gromić jej wrogów i wiekopomną okryć sławą imię polskie.

Wprawdzie, pomne na wolność swej Ojczyzny i żądne zerwania pęt krępujących ją, porywały się pokolenia do pracy, myśląc, bądź to o gruntownej jej odbudowie w Konstytucji 3 Maja, bądź to powstańczym orężem demonstrując przed całym światem swe zdolności i prawa do wolności i życia. Ale siły się prędko wyczerpywały, krew przelana za prawdę i cele najświętsze

mieszała się z błotem zdrady i niezaradności — wysiłki na nic się zdały.

I myśli ich poprzez karty historji Narodu biegły ku postaci ostatniego obrońcy potęgi Rzeczypospolitej, zatrzymującego nawały wrogiego pogaństwa, zwalającego się na to »przedmurze chrześcijaństwa«.

Snuto nić wspomnień . . .

Nagle przed oczami zjawiła się galopem pędząca, wśród świstu skrzydeł, wśród huraganowego tententu kopyt końskich, w żelazo zakuta husarja . . .

Pękają pod jej naporem tłumy Tatarów, Kozaków, Turków . . Podhajce, — Chocim . . . I nareszcie Wiedeń!

Przed majestatem Rzeczypospolitej korzą się posłowie austrjaccy . . .

Jak w tryumfalnym pochodzie rusza na odsiecz rycerstwo polskie.

12 września 1683.

Król Jan wskazał buławą na tłumy pogaństwa, oblegającego nieszczęsny Wiedeń, na czerwony namiot wezyra.

Zerwały się orły polskie . . .

Runęła straszliwa husarja . . .

I stał się cud — cud polskiej wiary w Boga, cud genjuszu oręża polskiego króla.

Z namiotu pobitego Kara-Mustafy pisze król — bohater, do swej żony: »Bóg i Pan nasz, na wieki błogosławiony, dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyszały«.

— — — — — — — — — — — —

I czekał długo Naród polski w strasznej niewoli na drugiego wymarzonego Jana Sobieskiego — na oswobodziciela.

I zjawił się . . .

Bicz Boży — Józef Piłsudski.

Zajrzał głęboko w zbolałe serca — czynem porwał i przyciągnął do siebie.

6 sierpnia 1914.

Zerwały się z podwawelskiego grodu, ze stolicy i grobowca królów, białe orlęta na bój.

Nagle zjawiła się galopem pędząca, wśród świstu skrzydeł, wśród huraganowego tententu kopyt końskich, w żelazo zakuta...

zmartwychwstała husarja . . .

Runęły słupy graniczne państw zaborczych, wbite w łono Matki — Polski.

Biedny Naród, kręcący się po manowcach, wkroczył za Piłsudskim na właściwą drogę. Zniewolony Jego siłą moralną, szedł za Nim, wydzierając bagnetem, każdą piędź swej Ojczyzny.

Szedł tam, gdzie On wskazał,

I stał się cud – »Cud nad Wisłą«.

Warszawa. Rok 1920.

Pierzchły pod ciosem szabli polskiej skłębione, wściekłe tłumy wroga . . .

Rozbiły się o »przedmurze chrześcijaństwa«, o piersi Polaków.

Polska . . .

Naród zobaczył w Józefie Piłsudskim swego »króla Jana«. Pod Jego kierownictwem nasi Ojcowie wskrzesili krwią swą wolną Polskę. — Wymodlili męczennicy dla Polski jej kierownika i obrońcę a swego mściciela.

Zygmunt Walenta.

P. O. S.

(Rozmowa z panem prof. Kowalczykiem).

Na zalanem słońcem boisku »Sokoła«, ćwiczy duża grupa młodzieży. Słońce praży bezlitośnie, ale miłośnicy siatkówki oraz koszykówki są wytrwali. Zresztą któżby się chował przed słońcem — przed cudownem, boskiem słońcem!

Jakże ci, którzy na swej piersi noszą odznakę P.O.S.u — mogliby stchórzyć? Przenigdy.

Ćwiczącym przewodzi P. prof. Kowalczyk. Zbliżam się do niego i zdaleka już wołam: »teraz pan profesor już mi nie ucieknie,« Notes otwarty i ołówek, mówią za mnie o co chodzi.

— Panie profesorze — czy mogę dowiedzieć się paru szczegółów o tak sławnym dziś P.O.Sie.

— P.O.S., jest to Państwowa Odznaka Sportowa. Zostaje ona udzielona na podstawie zaświadczenia o wykonaniu pewnej ilości przepisanej ćwiczeń z zakresu lekko-atletyki.

— Czy wymagania są ciężkie?

— Bynajmniej. Mojem zdaniem są nawet za łatwe.

Każdy — dosłownie każdy może zdobyć P.O.S. Ponieważ P.O.S. ważny jest tylko na dwa lata — przeto zmusza właściciela do ciągłej pracy nad swoim rozwojem fizycznym, przez co powiększa szeregi ludzi zdrowych — posiadających pewne określone *minimum* sprawności fizycznej.

— A jak przedstawia się sprawa P.O.Su w naszym zakładzie?

— Doskonale. Przed wakacjami zgłosiło się do P.O.Su ogółem 250 kandydatów. Z tego zaświadczenia i odznaki otrzymało 81 uczniów. W okresie jesiennym odznakę P.O S. zdobędzie około 150 uczniów, czyli że w ciągu października liczba posiadaczy tej odznaki wzrośnie do 230. Praca jednak nie ustaje. Zgłaszają się wciąż nowi kandydaci. W krótkim czasie i oni będą mogli poszczycić się piękną i estetyczną odznaką — a co ważniejsza — poczuciem, że mają jednak pewne minimum fizyczne, które przy pracy rozwinie się pomyślnie. Mojem zdaniem, za kilka lat nie powinno być młodzieńca nie mogącego wykazać się posiadaniem zaświadczenia P.O.Su.

— Dziękuję za wszystko, panie profesorze. Umieścimy to zaraz w pierwszym numerze »Zewu«.

(Podajemy poniżej spis prawnych posiadaczy Państwowej Odznaki Sportowej, w myśli, że przyczyni się to do szlachetnej rywalizacji wśród tych, którzy jej jeszcze nie posiadają. Narazie podajemy 76 nazwisk.)

Krokay W. Madejski M. Tor Z. Toliński M. Bernal Z. Nowak A. Zawistowski K. Michałowski Z. Sielberzweig K. Dębogórski J. Janas K. Łapa M. Kowalski S Strnąd S. Trębacz S. Wagner J. Machnicki S. Żelechowski J. Twardy S. Rzebik T. Sularz M. Skrzyński A. Link T. Bujak T. Dębogórski R. Haber T. Steinberg J. Burzyński B. Firlit E. Gawrak M. Glückstein S. Hałuszczak A Kacza J. Koliński M. Norek L. Nowakowski J Waszkiewicz J Zawadzki J. Grydil Z. Laskowski W. Nieniewski A. Rozwadowski J. Swolkień A. Maak M. Grresiak K. Ciołkowski R. Eichner Z. Busz M. Kumorkiewicz K. Choma J. Dura L. Giliński J. Heller Z. Kalidzki K. Leszczyński K Klimowski J. Kukliński Cz. Warski R. Medwey E. Pajor K. Reaubourg M. Rutkowski W. Stankiewicz A. Steciak S. Śliwiński A. Wesołowski J. Zembaczyński B. Zimnal K. Zaus T. Golblat K. Ćmikiewicz J. Riesser M. Pustelnik K. Michoński S. Gołębiowski S. Cyrankiewicz J.

To przywiązanie, które ludzie prości
czerpią z cichego z naturą przymierza,
stwarza ojczyznę, jako cel miłości.

(*Adam Asnyk.*)

Kajakiem po Dunajcu.

Dzień wstał pochmurny, lecz ciepły. Pod watowaną kołdrą popielatych chmur powietrze stało bez ruchu. Przeciągnąłem się na łóżku, następnie zredago-

wałem następujący komunikat »Pochmurno, ciepło. z miejscowemi przejaśnieniami, temperatura bez większych wachań, możliwość opadów, skłonność do burz«. Czyli, że dzień w sam raz na wycieczkę kajakową. Dłużej już nie można było zwlekać. Zaopatrzyliśmy się w nieprzemakalne wiatrówki oraz dwa termosy z gorącą herbatą. Kajak rozłożony spoczywał wygodnie w brezentowych pokrowcach.

»A bułki macie... no to dobrze... a szynkę?.. acha...a ta czekolada jest w plecaku?... To zdaje się wszystko. Może to już czas iść na kolej?

Słońce przebiło cieńką warstwę chmur i cisnęło na ziemię snop promieni. W jednej chwili świat poweselał, ale trwało to niedługo. Od zachodu nadchodziła ciemno granatowa chmura z wiszącemi u jej boków brudnemi snopami ulewy.

Chwila wahania... »co robić«... A potem desperacka odpowiedź: raz kozie śmierć. Nie dziś to jutro... zleje nas tak samo.

Chmura jest coraz bliżej. »Za górami« jak to się zwykle mówi, szaleje ulewa. Idziemy z podniesionemi głowami, w celu badania kierunku wiatru.

A potem stacja kolejowa. Zaspany urzędnik w brudno czerwonei czapce, oraz zaspane, brudno czerwone szeregi towarowych wagonów. Pusty peron z nieodłącznemi elektrycznemi dzwonkami i samotna zielona ławka. Nuda oczekiwania.

Stalowe pasma szyn, dążą w niepowstrzymanym pędzie w siność horyzontu.

Miasteczko otulone w ciężką zieleń drzew, przykucnęło na wzgórku

Z niektórych kominów ulatuje już dym.

Szyny dygocą miarowo. Z poza zakrętu wtacza się na peron pociąg, w trzaskającym przebiegu niezliczonej ilości zwrotnic.

Przelatują przed oczyma pozamykane szyby z przylepionemi do nich blademi, niewyspanemi twarzami. Otwierają się dzwiczki, na peron wyskakują nakręcone marjonetki... okrzyki zduszone i zawsze niezrozumiałe, rozsypują się wzdłuż ciemnego cielska pociągu.

Deszcz kapie. Po szybach spływają duże krople.

Jak to przyjemnie ulżyć sobie szeregiem nieparlamentarnych słów.

Nabraliśmy zaraz otuchy.

Pociąg sapie ale pędzi. Przelatują drogi, rowy, budki z nieodłącznemi postaciami kolejarzy, laski brzozowe, mosty. Wije się dym fantastycznemi skrętami. Słońce chwilami wygląda z poza chmur.

Robi się jaśniej na duszy.

Panowie daleko?, rozpoczyna się zwykła banalna pogwarka.

Na Dunajec, wysiadamy w Nowym Sączu, i jedziemy wodą do Tarnowa. Trzask drzwiczek. Konduktor. Wyciągają się ręce z biletami. Wzrok umundurowanego pana biegnie na półkę, na której drzemie kajak.

— Czyje to?...

— Nasze, odpowiadamy.

— To powinno jechać w »pakwozie«.

— Ale panie kochany.. toż to bagaż ręczny...

— No, no, ale na przyszły raz...

— Ale naturalnie, rozumie się.

Posyłamy za nim kilka szelmowskich spojrzeń. Fred wyciągą koniak.

Koło okna, czterech drabów gra w »bridża«.

— Ósemka bez atu... wal!

— Pik.

— Karo...

Teraz dopiero rozumiem rentowność pociągów bridżowych. Tu się gra najlepiej. Człowiek jedzie i nawet nie spostrzega jak mu pieniądze wyjeżdżają z kieszeni.

— Czekolada, piwo, lemoniada, kanapki, ciasteczka... woda sodowa.,.

— Bagażowy...

Tupot nóg na korytarzu.

Ruszamy dalej. Pociąg poczyna się wspinać po pięknej serpentynie.

Odsłania się cudowny widok na Grybów ze strzelistą wieżą kościoła i bia-

łym wiaduktem, rzuconym nad maleńką rzeczką. Ma się uczucie jazdy samolotem... Wszystko leży w dole. Niestety niema słońca. Nawet zaczyna kropić deszcz. Dojeżdżamy do Ptaszkowej. Tutaj druga lokomotywa zostaje odczepiona, już jako zbędna, dalej jedziemy w dół, silnie hamując. Przelatujemy przez nieduży tunel w Kamionce Wielkiej, i zniżamy się gwałtownie w dolinę, która przechodzi w zupełną równię, otoczoną wieńcem gór na horyzoncie.

Nowy Sącz.

Kajak wędruje przez okno na peron. A potem do fiakra. Do rzeki kawałek.

Tymczasem robi się dziwnie ciemno, nadchodzi burza. Góral podnosi »budę« i jedziemy przez ulicę Nowego Sącza. Z nieba leją się potoki wody. Suche trzaski piorunów, wplatają się brutalnie w szum ulewy. Niewesoło się zaczyna... Ale oto po pięciu minutach ulewa ustaje, niebo na gwałt się rozjaśnia. Gdzieś ukazuje się skrawek błękitu, rozpycha chmury i roztacza się triumfalnie nad ziemią. Słońce migocze w kałużach wody i błota.

Pod żelaznym mostem toczy się wolno Dunajec. Ale to tylko na oko... w rzeczywistości płynie dosyć szybko, tylko tak udaje, chcąc dodać sobie powagi i okazać ludziom, że nie jest już rozbrykanym górskim strumieniem, lecz poważną nizinną rzeką.

Przystępujemy do wyjmowania części z plecaków. Na mokrej trawie, rozkładamy popielate cielsko kajaka. Zwolna, powłoka zaczyna się naciągać, staje się naprawdę podobną do łodzi. Wszystko idzie składnie, robota jest podzielona. Fred podaje części, a ja składam. A wtem... Ponura wściekłość i zgrzytanie zębów,., Brak jednego drążka. Szkielet się nie naciągnie...

W oczach robi się ciemno.

(Myślałem o samobójstwie.., Rzeka niedaleko, woda głęboka i rwąca. .)

Jednak szczęście się do nas uśmiechnęło. Pewien »tubylec« słyszał nasze skargi i żałosne jęki i dał nam adres najbliższego stolarza. Fred błysnął oczyma i pognał do owego stolarza, zaś ja zostałem w celu pilnowania rzeczy.

Dunajec płynął nieustannie, fale rozdzielały się na betonowych filarach mostu, dalej łączyły się znów i biegły wdal. Co chwila, z wody wytryskał śmiałym rzutem pstrąg i mignąwszy białym brzuchem, wpadał z powrotem. Po moście chodzili ludzie i jechały ciężkie wozy. Na horyzoncie było dużo białych jak śnieg obłoków, środek jednak nieba był cudownie lazurowy. W pewnym momencie, obłoki rozeszły się i w błękicie zalśniły się jakieś perłowe ząbki... Czyżby?... Tak, to były Tatry. Wpatrywałem się w nie, aż oczy zaszły mi łzami. Gdy widzę Tatry, odczuwam rodzaj uwielbienia i nieśmiałości. Są dla mnie czemś wielkiem, świętem i pięknem.

Po dwudziestu minutach powrócił Fred, z dwoma silnymi chłopakami. Przynieśli dorobiony drążek i zabrali się do składania. Dokończyli w mig, pomogli nawet zepchnąć kajak na wodę.

Przedtem jednak zrobiliśmy sobie małe śniadańko, na które zjadłem kurczę na zimno oraz trzy duże kromki czarnego chleba, tak czarnego jak nasza niedawna rozpacz.

Kajak kołysał się na wodzie.

— Hop... przeleciał koło mnie plecak z żywnością. Uwaga!

Fred usiadł z tyłu. Z mostu patrzą się ludzie.

— No... W Imię Boga... ruszamy. Fred wydaje rozkazy. Lewa, prawa, lewa, prawa... Przepływamy obok potężnego filaru. Słońce się śmieje, rzeka bulgocze wesoło. Prędzej, prędzej, raz dwa.

Maczamy wiosła w błękicie... gdy je wyjmujemy, ociekają kroplami słońca. Mięśnie rąk grają pod aksamitem opalonej skóry. Uwaga. Prąd... hop! hop!... po rozbrykanej fali. Wioosłować... Złożyć wiosła. Jedziemy z dużą szybkością. Niech się dzieje wola Boża! Kajak pędzi tuż koło ostrych, ogromnych ka-

mieni... dalej jest zakręt szumiący i spieniony, w środku rzeki wydma. Wysoko w obłokach warczy samolot. Z lotniska w Nowym Sączu startują dwie Awie... już są nad nami. Krzyczymy śmiejąc się: pozdrowienie dla Krakowa.

Równina kończy się. Jesteśmy na wstępie do gór. Marcinkowice.

Na tle nieba widać kopy górskie oraz małą czerwoną stację. Wjeżdżamy w wąwozy. Dunajec poczyna być niegrzeczny. Coraz częściej pozwala sobie na zalewanie kajaka pienistemi rozbryzgami fal.

Fred uderza mnie w plecy. Lądujemy. Duża, kamienista plaża. Kąpiel?... Doskonale, trzeba jeno kajak wyciągnąć na brzeg, aby nie uciekł. Potem kąpiemy się. A potem leżymy na rozgrzanych kamykach.

Aparat fotograficzny nie próżnuje.

I znów jazda dalej. Tymczasem chmury zachodzą na horyzont.

Z poza jakiejś góry, wylała się oślizgła, lepka, sina chmura. Błyska się. Wiater zagwizdał, wywrócił kozła i uderzył głową o filar Kurowieckiego mostu. Znów lądowanie. Ładujemy na siebie koszulki, swetry i wiatrówki. Ohe! jak leje. Niebo się roztargało od krańca po kraniec. Plecaki służące do przenoszenia kajaka, wędrują na nasze głowy. Mokniemy, stojąc w spokojnej zatoczce. Pogoda. Błękit. Nad granatowemi kopicami gór wisi cudowny łuk tęczy.

Zdejmujemy przemoczone swetry i kładziemy je na dziobie składaka, aby wyschły. Jedziemy dalej — słońce dogrzewa. Fred częstuje mnie dużym, kawałem czekolady. Nawet i tu Wedel? A jakże! doskonały.

Lewa, prawa, lewa...

Na brzegu stoi dziwaczny młynek poruszany siłą wody i miele zboże. Obok siedzi pomarszczony i żółty staruszek. Zboczem góry—tuż pod zwartą ścianą lasu, biegnie zając.

Dunajec szumi, młynek turkocze — jest przyjemnie. Po prawej ręce wśród olbrzymich lip widać gontowy dach jakiegoś wiejskiego kościółka.

Wiosła odpoczywają. My też. Płyniemy z szybkością fali brzegiem rzeki, Dunajec czasem opada w ten sposób że dno »przechylą« się na jeden bok— woda rozlewa się po niem i spływa do wąskiego i głębokiego koryta — umacnianego zwykle zwałami ostrych głazów. Pędzi tam szybko, pieniąc się i rozbryzgując. Wiosła tu nic nie poradzą. Trzeba poddać się losowi. A potem znów spokojna, zielona głębia.

Nadchodzą nowe chmury. Znów grzmi i błyska się. Na wyścigi— kto prędzej! chmury czy my? Może zdołamy ujść burzy, gdyż zasięg jej jest niewielki. Pędzimy. Mięśnie pracują — woda skapuje z wioseł do środka łodzi. Kajak mknie. Wpadamy znów na prąd. Wiosłowaliśmy tak przeszło 30 minut.

Spoglądamy po niebie. Burza została w tyle — nad nami unosi się kraniec chmury. Zwyciężyliśmy! Znów słońce. Płyniemy wśród zielonych, wiklinowych pól, pozdrawiamy wesoło rybaków tkwiących po kolana we wodzie, mijamy tratwy spławiające drzewo do morza,

Posiłek nie przerywa jazdy. Fred troszczy się o mnie niczem matka. Podaje do ust bułki z kiełbasą, czekoladę, jabłka. Mimoto zaspokoić uczucia głodu nie mogę. To już nie moja wina, że na wycieczce mam taki apetyt.

Przepływamy przez zielone głębie, pędzimy wąskiemi przesmykami, zsuwamy kajak z mielizn (zdarzyło się to tylko dwa razy), płyniemy w słońcu, aż śmieje się dusza. Radość taka, że chciałoby się krzyczeć na cały głos do tego nieba, do jaskrawo białych obłoków »bywajcie«. Pozdrowienia dla znajomych!...

Rzeka płynie w migocie i rozsrebrzeniu. Miejscami jest zielona i przybiera na twarz maskę powagi.

Spostrzegamy na tafli wodnej małą łupinkę połyskującą wiosłem. Wytężamy wzrok. Płynie jakiś kajak. Przypływamy do siebie.

— Dzieńdobry! woła »kolega po fachu«.

— Dzieńdobry! odpowiadamy. Następuje uścisk dłoni.

— Panowie z daleka?

— Ze Sącza. Płyniemy do Bogumiłowic. Czy dalej jest dobra woda?

— Tak — jest tylko jedno miejsce, gdzie nieco »rzuca«.

— A czy dużo kajaków przepływa Dunajec?

— Prawie, że nic.

— Dowidzenia... Dowidzenia...

Parę uderzeń wiosłami i rozdzielamy się. Słońce zaczyna staczać się za góry. Oświetlenie staje się pomarańczowe. cienie nabierają miękkości. a woda lśni się delikatnie jak aksamit. Mijamy wsie, pozakopywane w ciężką zieleń starych drzew, przepływamy obok promów, wiosłujemy na głębszych miejscach i dajemy się unosić falom pieniącym się i szumiącym na kamieniach.

Słońce zaszło. Jak na komendę wzleciały z dna rzeki kłębuszki mgieł. Na piaszczystych brzegach stoją długodziobe czaple – czyhają na ryby, których w Dunajcu jest mnóstwo. *(d. n.)*

Zjazd „Straży Przedniej".

Wczesnym rankiem 12 września b.r. przed krakowskim dworcem zachodnim poczęła się gromadzić młodzież z różnych gimnazjów i seminarjów krakowskich. Byli to delegaci na zjazd młodzieży szkolnej województwa Śląskiego i »Straży Przedniej« w Piekarach, gdzie odbyły się wielkie uroczystości jako w miejscu przemarszu i postoju wojsk Jana III Sobieskiego, podczas pochodu na Wiedeń. Z koła »Straży Przedniej« naszego gimnazjum wyjechało 23 członków (część subwencjonowana przez Dyrekcję naszego zakładu) pod opieką p. prof. W. Kowalczyka. Nudy i senność podczas dwugodzinnej jazdy pociągiem z pomyślnym skutkiem »zabijała« kapela grupy regjonalnej jadącej na zjazd z »Weselem Krakowskiem«.— »Dobijamy« do stacji Scharlej-Piekary.

Był cudowny słoneczny dzień. Całe Piekary maleńka ale sympatyczna mieścina zalana była tłumem młodzieży. Przed południem odbyło się uroczyste nabożeństwo, potem poświęcenie cudgmachu gimnazjalnego. My krakowiacy (i krakowianki) przyzwyczajeni przeważnie do naszych walących się nam na głowy, ciemnych i ciasnych gmachów które jako prywatne ciągle, zresztą bez wielkich skutków są reperowane i przerabiane,— początkowo nie mogliśmy wyjść z podziwu, że ten z cementu, żelaza i szkła gmach, o tych wygodnych schodach, olbrzymich salach, szerokich korytarzach, jest budynkiem szkolnym.— Na podworcu tego gmachu odbyła się po poświęceniu uroczysta akademja ku czci Jana III.

— Po przerwie obiadowej udał się ten kilkutysięczny tłum młodzieży w olbrzymim, barwnym pochodzie przez miasto, na zapoczątkowany w sypaniu kopiec mający ludności tutejszej i całej Polsce przypomnieć, że tu zatrzymał się wraz ze swemi wojskami król Jan III, który orężem swym rozsławił Polskę na cały świat.

— Dobrze jest, że kopiec ten stoi w mieście będącem tak niedalego granicy niemieckiej, bowiem ciągła pamięć na ten historyczny moment podnosić i umacniać będzie ducha tych, którzy zmuszeni są tam walczyć na każdym kroku z wrogo Polsce usposobionym sąsiadem.

— Na kopcu odbyło się uroczyste wsypanie ziem przywiezionych przez delegacje do urny, z miejsc śmierci lub grobów powstańców śląskich dalej z pod Racławic i Maciejowic. Sztafeta rowerzystów przywiozła

ziemię z dawnego miejsca zbiegania się trzech zaborczych granic »trzech cesarzy«.

— Po tym akcie wieczorem na zakończenie uroczystości odbył się wielki pokaz młodzieży.

— W pokazach regjonalnych prym dzierżyła delegacja Krakowa swem »Weselem Krakowskiem«, które wzbudziło szczery zachwyt.

— Gdy tylko zapowiedziano, że wystąpi grupa krakowska — momentalnie dotąd »lodziarze« i »wodziarze« u których szukano pokrzepienia. poszli w niepamięć i oczy wszystkich skierowały się na scenę.

A było na co patrzeć.

Pan młody przed zrękowinami przypuścił jeszcze raz »generalny szturm« do serduszka ukochanej. — Przybył ze swymi kompanami i muzyką a zobaczywszy swą wybraną, podparł »se« boki, dumny ze swojej białej, migocącej centkami kierezji, brzęknął pasem, nasunął głębiej na ucho czapkę z pawiem piórem i zaśpiewał:

»Wynidź ze mi, wynidź
Albo mi się pokos
Będą powiadali, że się we mnie kochos!«

Gdy pozwolenie zostało dane, pobłogosławił starosta ręce panny i pana młodego nad bochenkiem chleba i odbyły się smutne oczepiny po których wszyscy na pannę młodą napatrzeć się nie mogli:

»Przypatrzcie się wszyscy ludzie
W wianku była, w czepku idzie...«

ale zaraz orzekli, że:

»Pięknie jej w wianeczku
Lecz piękniej w czepeczku.«

I zaraz też starosta zwrócił się ku muzykantom i zaśpiewał:

»Hej! zagrajcież mi od ucha
Niech się wyhula dziewucha«

niezapomniał przytem ze względu na kryzysowe czasy dodać:

»A jak się wzbogacę
To ja wam zapłacę«.

Muzykanci dali mu jednak wiarę, że jak minie kryzys to im zapłaci, bo zachuczały basy, pisnął klarnet a ze skrzypiec popłynęła dziarska, zwarjowana melodja krakowiaka. — Zafurgotały spodniczki i wstęgi krakowianek, zamigotały kierezje, sypnęły się drzazgi z desek estrady.

— Przed orkiestrą zatrzymywała się czasem para i śpiewała aktualnego krakowiaka »na prędce« ułożonego. Starosta zawinąwszy hołubca zaśpiewał w stronę p. Wojewody Grażyńskiego:

»Kot pod płotem miauczy
Piesek w budzie wyje
Nasz pan Wojewoda
Niech nam sto lat żyje!«

i dalej w tany. — Muzykanci wpadli w szaleńcze tempo— już im tchu brakuje, palce mdleją a oni tańczą i tańczą. Coraz to inna figura to »gwiazda« to »mijany« to »koszyczek« i ta cudowna skala barw i ten rytm życia beztroski oszołomił i oczarował wszystkich.

To też zbierały nasze krakowianki i krakowiacy huragany oklasków.

»237«

Wady i zalety narodowe Polaków.

Pierwszym warunkiem przy opracowywaniu podobnego tematu jest bezwzględny objektywizm, nie można dać się unieść zbytniej stronniczości.

— Nie można wybielać ani oczerniać charakteru Polaków, lecz trzeba go sprawiedliwie ocenić.

Zasadnicza wada Polaków, to słomiany ogień i brak wytrwałości. »Wszystko będzie jak najlepiej, wszystko się zrobi» ale jak, to jest rzecz drugorzędna. Z tego powstało to znane powiedzenie »jakoś to będzie«.

Brak wytrwałości, pozostawił nieza-

tarte znamię na kartach naszej historji.

Weźmy naprzykład wojny, które zapowiadały się dla nas b. korzystnie a które nie zostały wyzyskane, tylko z powodu braku wytrwałości i konsekwencji u szlachty.

Wada ta, była potęgowana umiłowaniem wygody, oraz interesem prywatnym.

Czyż każdy z nas nie zaznał u siebie w większym lub mniejszym stopniu t.z. słomianego ognia ?

Naprzykład z początkiem roku wszystko wydaje się nam w różowych barwach, potem zapał wygasa z powodu wielu przeciwieństw i trudności, do których przezwyciężenia nie mamy dosyć wytrwałości, wreszcie nawet upomnienia przełożonych nie odnoszą pożądanego skutku.

Dopiero ostateczność wzywa nas do tego co z początku wydawało się nam przyjemnością.

A czyż w życiu społecznem nie obserwujemy wielu przykładów słomianego ognia i braku wytrwałości ?

W wyniku rozmów, przeprowadzonych z przewodnikami kółek i organizacji gim. doszedłem do przekonania, iż wady te są wśród nas rozpowszechnione.

Najlepiej świadczy o tem frekwencja na zebraniach pierwszych i późniejszych.

Spada ona mniej więcej o 45 proc. co jest cyfrą bardzo dużą,

Trzecia taka kardynalna wada, to niezgoda, która tak czarnemi zgłoskami zapisała się w naszej historji.

Wystarczy przypomnieć owe nieszczęsne »liberum veto«, oraz tak zgubne w swych skutkach rokosze szlachty.

Miejscem krzewienia tej niezgody była wolna elekcja, sejm, oraz przesadna opozycja, w stosunku do wszelkich zarządzeń władzy ustawodawczej.

Chęć imponowania innym i zamiłowania do demagogji były przyczyną gorzkich, lecz niestety słusznych słów naszego wieszcza Juljusza Słowackiego: »pawiem narodów byłaś i papugą«.

Przejdźmy teraz do zalet. Zaliczyć do nich można, męstwo, szczerość, głębokie poczucie narodowości, tolerancja oraz, pewna łagodność w usposobieniu Polaków, wspólna zresztą dla wszystkich narodów słowiańskich.

Postaram się przejść je po koleji i o ile możności dokładnie.

Szczerość w stosunku z innemi narodami była przyczyną zaufania, jakiem darzyła nas zagranica.

Jednakże szczerość ta nie wyszła nam na dobre, nic konkretnego przez nią nie uzyskaliśmy.

Zawsze dopatrywaliśmy się w poczynaniach zagranicy, w stosunku do nas jakichś sentymentów, podczas gdy tamci nawet o tem nie myśleli, biorąc rzecz realnie, mając na myśli swój własny interes:

Gdyby nie męstwo wrodzone Polakom nie dalibyśmy sobie rady na przestrzeni wieków.

Gdybym zajął się tutaj wyliczaniem przykładów, przysłowiowego męstwa Polaków, musiałbym właściwie skreślić całe nasze dzieje, poprzez Bolesławów, Kazimierza W. Jagiełłę. K. Jagielończyka, Zygmuntów, Batorego aż do Sobieskiego,

Są jednak pewne wyjątkowe czasy, gdy zalety zostały przezwyciężone przez wady.

Są to czasy rozbicia Polski na dzielnice a więc wiek XIV, czasy Jana Kazimierza i rozbiorów Polski.

Lecz właśnie dzięki wrodzonemu męstwu, oraz umiłowaniu Ojczyzny, przetrwaliśmy złe czasy i możemy teraz wspominać wymienione momenty naszych dziejów: Grunwald, Chocim, Beresteczko, Wiedeń, udział we wojnach napoleońskich i czasy porozbiorowe, które były erą poświęcenia i bohaterstwa nie tyle wojennego, ile cywilnego.

Przypomnijmy sobie tylko stosunki w szkołach z tych czasów i osądźmy w o ile szczęśliwszem położeniu znajdujemy się teraz.

Legjony, Cud nad Wisłą i wogóle, powstanie odrodzonej Polski, to wynik szczególnego męstwa i umiłowania Ojczyzny.

Poczuciu narodowemu daje wyraz zachowanie myśli państwowej przez cały czas niewoli, idei tak głęboko zakorzenionej w sercach Polaków, iż po 123 latach niewoli zupełnie nie straciła na sile.

Również dowodem tego jest ścisła łączność emigracji z macierzą i wielka reemigracja.

Poczucie p ństwowości rozrosło się wśród dzisiejszego pokolenia niebywale, zaś męstwo znalazło swe ujście w pracy wytężonej nad budową własnego państwa

Wielkim plusem naszej polityki, była wynikająca z usposobienia naszego, tolerancja religijna, króra uratowała Polskę w wielu wypadkach od zbytecznego rozlewu krwi bratniej. Wprawdzie zaniechanie tolerancji było jedną z przyczyn upadku Polski, lecz było ono wypadkiem odosobnionym i wywołanym przez wrogie nam czynniki, którego jednak nie należy indentyfikować z uczuciami całego narodu.

Na tem kończę omawianie tematu.

Starajmy się wszystkiemi siłami wykorzenić wady a pomnażać zalety, a będziemy mogli śmiało spoglądać w przyszłość. (*Jerzy Figiel*)

Nasi na obozie P. W.

Obóz P. W. mieści się w bardzo ładnej okolicy, w Starym Sączu, nad brzegiem Popradu.

Było nas tam mało, ale zato chłopcy wybierani. Wyjechaliśmy zasileni w pieniądze i prowianty, 18 czerwca 1933 roku. Deszcz nas w Sączu przywitał i trochę smutne mieliśmy miny. Rankiem 10-ego, wprawdzie po błocie ale w słońcu, maszerowaliśmy do kościoła. Cały nasz sztab i my. To znaczy major Michocki, kpt. Porębski, por. Hussakowski, por. Iwaszkiewicz, por. Wątoczek oraz bezpośredni nasz szef, sierż. Słowik, dalej kompanja krakowska w liczbie 87 szeregowców, w tem kilkunastu z naszego zakładu, a między nimi Dudek, Dodek, Lopek, Zymek i ja.

Rozpoczęło się przemiłe życie obozowe. Wstawanie o 6 rano, na głos trąbki, pospieszne mycie, modlitwa, gimnastyka a potem śniadanie. Różnie bywało — to w słońcu, to znowu w błocie ale zawsze z werwą, uśmiechem i radością w duszy. Po obiedzie następowało czyszczenie broni oraz parę chwil wolnych. (Nawiasem mówiąc te parę chwil trwało 2 godziny). Pisaliśmy listy do domu — do rodziców, krewnych, kuzynek...

Po odpoczynku gimnastyka. Tutaj mieliśmy wdzięczne pole do podtrzymania dotychczasowej sławy naszego gimnazjum.

Raport, listy i przesyłki z domu — to była największa rozmaitość, radość, lub rozczarowanie.

Kolacja — ognisko!

Spać!

* * *

W drugim tygodniu odbyły się zawody sportowe o mistrzostwo I grupy obozów letnich P. W., w których z naszego zakładu brali udział »wybitni sportowcy« jak Lopek, Zymek i niżej podpisany.

Zakończyliśmy obóz nabożeństwem i defiladą przed dowódcą pułku w Starym Sączu. Wróciliśmy zdrowi, opaleni, zadowoleni — witani przez oczekujących na stacji krewnych, rodziców it.p. Przysporzyliśmy chwały gimnazjum IV-emu, niechże ci, którzy w tym roku na obóz się dostaną, podtrzymają dalej dobrą opinję. Baczność!, Spocznij!

Uczestnik.

o—O—o

Kamienny sen.

Zmęczony całodziennem poszukiwaniem tematu do artykułu zasnąłem.

* * *

Panował szary półmrok Przytępioną świadomość zaalarmował nagle jakiś stuk przy drzwiach. Pobiegłem w stronę skrzynki z listami. Otwieram — na dnie skrzynki leży kamień płaski i dość długi. Co za głupie dowcipy? Oglądam kamień szczegółowo. Jakieś dziwne znaki. Nagle — cudownym trafem zaczynam rozumieć. Oto »stoi jak byk«: Zapraszamy W. Pana jako współpracownika „Zewu" na uroczysty vernissage wystawy sztuki współczesnej epoki kamiennej. »Proszę przybyć jaknajrychlej«, westchnęłem- Ano trudno. Obowiązek dziennikarski, trzeba jechać.

* * *

Znowu szary półmrok. Powoli się rozjaśnia. Coś zielenieje. Wreszcie — stoję na zalanej słońcem polance. Przechodzę przez szpaler obywateli, prezentujących maczugi najnowszego typu, ciężkiego kalibru. Muzyka gra na rogach wesołą kakofonję. Podbiega jakiś obrośnięty młodzian. Już zdaleka kłania się i krzyczy: — Witam kolegę! Przecież pan przyjechał! Jest pan współpracownikiem poczytnego pisma »*Zew*« prawda? Wiem, wiem setki czytelników! Jesteśmy więc kolegami po fachu. Bo trzeba panu wiedzieć, że jestem dyrektorem potężnego koncernu prasowego. Naszym głównym organem jest »Kamyczek«. Właśnie wydajemy z powodu pańskiego przyjazdu nadzwyczajne wydanie. Dzięki najnowszym urządzeniom technicznym, wyjdzie już za pięć dni. Szalony pośpiech! Tempo — to nasze hasło! — Ujął mnie pod rękę i prowadził wzdłuż szeregu chat, z których wychylały się głowy ciekawych obywateli. Nad wejściem do dość obszernej lepianki widniał napis: Coiffeur, manicure, pedicure. »Tudzież wyrywanie zębów«. Właśnie fryzjer i dentysta w jednej osobie, indywiduum z metrową brodą i opaską z paproci na biodrach, uskuteczniał na głowie klienta, zapomocą grzebienia z ości, trudny zabieg fryzjerski.

Widzi pan — rzekł mój rozmówca, oto najmodniejsza fryzura — krzyk sezonu — ostatnia nowość! Fryzura na pterodaktyla z przedziałkiem. Koafiura na lwa wyszła już z mody. No, ale wchodzimy do gmachu wystawowego!

Znaleźliśmy się przed wejściem do groty, obrośniętej zielenią. Przed otworem stały dwa wazony z paprociami. Mój informator zaczął włochatą ręką pokazywać i objaśniać obrazy, rysowane na ścianach jaskini.

»Oto obraz młodego, ale utalentowanego malarza. Świetnie się zapowiada«! — No tak — odparłem — jest to naprawdę coś à la Pablo Picasso. — Mój rozmówca nie zrozumiał, zrobił tylko domyślną minę i oprowadzał mnie dalej. Oto scena z polowania na dinosaura! Także świetny obraz. A tutaj mamy sceny z życia powszedniego. Ładne? — Teraz zaś przejdziemy do działu rzeźby. Proszę pana, czy widział pan coś takiego? Szczyt najnowszej techniki ościowej. Rozumie pan — ości ryby latającej. — Przemierzył salę wystawową wzrokiem i rzekł: No tak, toby było już wszystko.

Wyszliśmy. Przed wyjściem zatrzymał nas jakiś obywatel. »Litościwa osobo, parę groszy, czasowo nie mogę zarobkować. Noga mnie boli«. Tu pokazał nogę, owiniętą liśćmi agawy. »Wyobraź pan sobie, gazeta spadła mi na stopę!« (Aha, epoka kamienia!) — Dobrze, że

gazeta, a nie encyklopedja — odrzekłem.

Udaliśmy się na uroczysty mecz piłki nożnej. Udał się doskonale. Piłka, jak na epokę kamienną przystało, sporządzona była z toczonego piaskowca. Gra stała na wysokim poziomie. Tylko trzy razy interwenjowało pogotowie: Raz gracz odbił piłkę »główką«, a dwa razy wpadła »bomba«, przeznaczona do bramki, na aut między publiczność. Pozatem było wszystko w porządku. Wieczorem odbyło się w salonach recepcyjnych (grota Nr. 15) wielkie przyjęcie reprezentacyjne z udziałem wszystkich ważnych osobistości osady. Oczywiście wszyscy z fryzurami na »pterodaktyla« i w nienagannie skrojonych liściach paproci. Zasiedliśmy do długiego, kamiennego stołu. Danie pierwsze: wątróbka z iguanodonta Następnie pieczone ichtjosaury z sałatką z macrocystis pyrifera i liści widłakowych, oraz potrawka z brontosaurusa. Wszystkie te potrawy legły mi kamieniem (stosownie do otoczenia) na żołądku. Nakoniec rozdano jakiś trunek(zdaje się wyciąg ze skrzypów, czysty wzmocniony 83 procent) co gości tak rozochociło, że jeden z moich sąsiadów otrzymał we włochatą głowę bolesny cios pałką kalibru nr. 5. (wysadzoną krzemieniami). Drugi dostał tylko kamiennym stołkiem. Wobec tego stanu rzeczy — prezydjum uroczystości zaproponowało przechadzkę — tak, aby się trochę przewietrzyć. Ja szedłem z moim kolegą po fachu, dyrektorem koncernu prasowego. Widzi pan rzekł on — pokazując na czerniejący w pobliżu las — oto park miejski, utrzymywany wielkim nakładem....

Nie dokończył, gdyż z parku miejskiego wyszedł naturalnej wielkości brontosaurus i zwinnym ruchem pochwycił i połknął mojego rozmówcę. Ja w przerażeniu zacząłem uciekać, wrzeszcząc z całej siły...

Oblany zimnym potem obudziłem się.

J. R.

Kolonja wakacyjna w Porębie Wielkiej.

»Towarzystwo Kolonij Wakacyjnych dla uczniów szkół średnich m. Krakowa« przyjęło w roku bieżącym do Poręby Wielkiej z gimnazjum IV. 42 uczniów z tego na sezon I. 18, na II. 24,

Kierownikiem był pan prof. Władysław Koch, były profesor naszego zakładu, opiekujący się Kolonją od roku 1904. Wychowanie fizyczne spoczywało w rękach prof. Marjana Meilicha.

Młodzież szkolna zebrana z trzech byłych zaborów (Krakowa Radomia i polskiego gimn. w Gdańsku), mając wprost idealne warunki bytowania, nietylko krzepiła się fizycznie, lecz kierowana przez swego wychowawcę ku szczytnym hasłom i ideałom państwotwórczym, urządziła szereg uroczystych akademij jak np. z okazji »Święta Morza«, Cudu nad Wisłą itp.

Najmilsze chwile z życia kolonijnego to wycieczki, których odbyto kilka jak na pobliski Turbacz, dwudniową do do Małych Pienin, największą zaś nagrodą dla najlepszych kolonistów była trzydniowa wycieczka w Tatry, pod osobistym kierunkiem dr. Władysława Ekierta, prezesa Tow. Kolon.

Kończąc to krótkie sprawozdanie, składam w imieniu kolonistów IV-ego gimnazjum najszczersze podziękowania tym wszystkim, którzy pracowali dla dobra kolonji, a w szczególności p. prof. Wł. Kochowi i Jego czcigodnej małżonce p. Józefinie Kochowej za Jej iście macierzyńską opiekę.

M. Madejski.

Coś dla sportowców.

Laik na meczu.

Józek kupił bilet przy kasie i uniesiony falą ludzi, znalazł się na ławce wielkiej trybuny. Po prawej stronie siedział barczysty mąż z fiziognomją boksera. Dolna wystająca szczęka, grube wargi i nos płaski przy muskularnej budowie ciała, to wszystko wskazywało, że człowiek o takim wyglądzie nie jeden raz stawał na ringu. Po drugiej stronie zajęło miejsce grube babsko w pstrokatym ubiorze, zakrawające na handlarkę zieleniny, lub na dobrze wyglądającą kucharkę.

Pozatem ludzi było dużo. Rozgrywano mecz piłki nożnej. Józek w tych rzeczach był tabaką w rogu. Poszedł z ciekawości. Nie rozumiał, o co chodzi tym ludziom biegającym w kąpielowych strojach na wielkim placu.

W celu zasięgnięcia języka zagadnął masywnego sąsiada.

— Przepraszam ! Nie wie pan, przypadkowo, na co to jest? — i wskazał na stojące po obu stronach boiska bramki.
— Więc pocóż pan tu przyszedł? mruknął wrogo, zagadnięty, spoglądając przed siebie.

Józek już nie miał ochoty pytać o coś więcej. Był zgaszony na jakiś czas. Nagle z piersi tysiąca widzów dobył się przeciągły okrzyk;

Jeeest !

To ci w białych porteczkach i czerwonych koszulkach zrobili coś takiego, o wywołało ogólne zadowolenie. Jedyie bokser mruknął coś i splunąwszy rzed siebie zaklął szkaradnie.
Widać niezadowolony był z tego bardzo.

Józkowi zdawało się, że ktoś tłucze mięso na kotlety.

To przekupka zieleniny podzielała ogólną radość, klaszcząc zapamiętale. Na chwilę ucichło, usłyszał skierowane ku sobie pytanie grubego babska:

—«A pan nie klaszczący? Co?«

—«Rzeczywiście, ma pani rację - rzekł uśmiechając się nienaturalnie — zapomniałem na śmierć. To mówiąc kropnął ręką w rękę raz tylko, uczuł bowiem gotycki łokieć w boku.

—«Co pan robi? wrzasnął muskularny człowiek — nie zna się pan na sporcie — a ruch robi jak warjat» — dodał właściciel zbyt zaostrzonego łokcia-

—»Rzeczywiście ma pan rację — przytaknął zdziwiony Józek — dlaczego ja coś robię? hm, ot tak sobie.

Bokser i »lady« byli odmiennego zapatrywania i na tem polegał cały tragizm Józka.

Widząc przed sobą jakiegoś młodzieńca o miłej zewnętrzności, zapytał nachylając się do ucha:

— Panie kochany, co ja mam robić? Jakiekolwiek zachowanie moje jest przyczyną, groźnego w skutkach, niezadowolenia, któregoś z moich sąsiadów.

—»Wiem, wiem co to znaczy. Rób pan tak jak ja«

—«Jak ja widzę, pan nic nie robi«

—»Właśnie, właśnie, na tem cały wic

polega. Patrz pan! dodał, wskazując rękę na czarnym temblaku.

— Co? pan kaleka?

— Gdzie tam — to tylko tak.

— To po to aby.. tego... że tak powiem.

— O... o... zgadł pan, doskonały sposób — to mówiąc wydobył z kieszeni kawałek sukna.

— Zrób pan tak samo, będziesz miał spokój jak anioł.

— A jeżeli ktoś mnie właśnie zapyta, dlaczego nie biję..

— Całkiem poprostu - rzekł, dowcipek pewnego rodzaju powiesz mu pan: z największą chęcią bym to robił, lecz jak widzisz, nie mogę.

Józek, dziękując za wszystko postanowił iść za radą swego przygodnego znajomego. W czasie pierwszej przerwy skombinował na prędce temblak, zmieniając jednocześnie miejsce.

Po chwili mecz rozpoczął się na nowo i ruch na trybunach powstał nagle. Znowu przeciągłe jest zagrzmiało w powietrzu. To przeciwna partja wpakowała piłkę do bramki. Oklaskom nie było końca.

— Pan naturalnie nie klaszcze — rzekł jakiś typ bardzo podejrzany, zwracając się do Józka.

Nauczony przez owego młodziana pseudokaleki, odpowiedział z udanym żalem:

— Przyjacielu, z największą chęcią bym to robił, lecz jak widzisz nie mogę

— Co? krzyknął oburzony typek, z kimże, ewentualność? Ten będzie z nimi trzymał! Patrzcie go!

Józek znów na jakiś czas został zgaszony. Psiakrew, tym ludziom to ani rusz dogodzić.

Tymczasem ów typ na odmianę zaczął wyklinać sędziego. Zresztą nie tylko on, na tym punkcie zgadzali się całkowicie zwolenicy brunatnych i czerwono białych.

W obdarzaniu kapłana sprawiedliwości solidnemi epitetami przodował jednak, gruby człowiek, zasapany z gniewu i gorąca, proponując sędziemu rzeczy nie do wykonania.

Sedzia kalosz — wołał — kanarki doić, mrówki łaskotać.

Józek sądząc, że ten sędzia naprawdę coś takiego zawinił, ryknął sobie na całe gardło.

— Tak, tak, to «tip» kryminalny bardzo. Urwał nagle. Gruby człowieczek wrzasnął na niego:

– Na kogo się pan tak drze?

– Na kogóż jak nie na tego tam sędziego – odparł udając fachowca w tych sprawach.

— Jak pan śmie? rzucił się pulchniutki człowiek.

– Jakto? co to ma znaczyć? Pan krzyczy od pół godziny jak opętaniec, a mnie nawet nie da gęby otworzyć — zawołał urażony Józek.

— Ja mogę, bo to mój brat a panu nic do tego — zakończył triumfujaco grubasek. Józek był już zgaszony na zawsze.

— — — — — — — — — —

O ile bym kiedyś na mecz poszedł — mawiał do mnie Józek — to jako jednoręki niemowa. To będzie lepiej, bo z ludźmi inaczej trudno dojść do ładu, wszystkim naraz nie dogodzisz, choćbyś nawet pękł.

MOTTO.

Kiedy z sobą coś pogodzisz,
W tem jest cały sęk,
Wszystkim naraz nie dogodzisz,
Choćbyś nawet pękł!

Wit Old.

HYMN.

I

Błogosławione bądźcie przedświty popopielate, szare, perłowe— mgły lęgnące się z ziemi — sine i skołtunione... obłoki różowe i białe, jak chlapnięcia pędzla po palecie nieba rozrzucone — chłodne poranne rosy tęczowe, brylantowe — zapachy mokrych traw i zbóż— zapachy błękitu i słońca czerwonego, dymiącego i zaspanego.

II

Błogosławione bądźcie rozkoszne poranki, trawy i liście, szlifowane kawałkiem słońca— rzeki, oparami niknącemi dymiące — szuwary, tkwiące w zieleni zastygłych wód — kaczeńce, rozpryśnięte po łąkach—motyle przekolorowe— ptaki ćwiergotliwe...

III

Błogosławione bądźcie przedpołudnia, zwolna nagrzewające się miłością słońca, żółte i pełne zboża, falujące jak morza dalekie, rozkołysane poszumną tęsknotą—rozlewające się złotem po twardej zieleni słodkich, koniczynowyeh pól.

IV

Błogosławione bądźcie rozpalone południa, bijące w niebo mieszaniną woni, upojne zapachy koniczynowe — zapachy parującej wody—rozgrzanych nadbrzeżnych kamieni, dzwoniące— rozszumiane tysiącami owadów — much przeróżnokolorowych, ważek i motyli. Szumiące, spiącym bulgotem strumieni srebrno zielonych, pomykających w zacieniu olch i wierzb poczciwych.

V

Błogosławione bądźcie południa kremowe i błękitno perłowe, obłoki gąbczaste, napełnione, wyssaną z ciała ziemi wilgocią—zielone topole nadwiślańskie, rozczochrane i nieubrane ciotki — wierzby — wikle, tchnące mułem i wilgocią—piaski złote i szafirowe—pastwiska, pokryte pstremi łatami krowich ciał.

VI

Błogosławione bądźcie przedwieczory ciche, zapatrzone w opadającą tarczę słońca — mgły delikatne, zrazu nieśmiałe—cienie długie, pastelowe—obłoki nieruchome, wachlarzowato po niebie rozrzucone.

VII

Błogosławione bądźcie popękane i porozrywane, sino granatowe chmury, strzelające snopami roztopionego złota, świątki zbiedzone, mizerne — przy drogach w kurzu i smętku ostawione, modlące się lipy i dęby — pasma wsiowych dróg, prowadzące w siność daleką, wyciętych na horyzoncie gór — ciche modrzewiowe kościółki, przyhołubione przez dęby stare i lipy—pachnące kadzidłami i staremi ornatami.

VIII

Błogosławione bądźcie wieczory fioletowe i granatowe — ciemno zielone plamy lasów i sino złotawe rzeki — i niebieskie mgły, lęgnące się z wikli czarnych, zimnych, wierzb kudłatych, bagnisk — żaby, śpiewające wieczorne litanje—rozedrgane, rozkwakane w ciemni brązowej zapleśniałych wód— w skołtunieniu mrocznem oślizgłych wodorostów.

IX

Nad wami bowiem unosi się Duch Boży — nad wami unosi się Łaska Boża — od stworzenia świata, aż po jego koniec. Jesteście tajemniczemi łącznikami ludzkości z Bogiem — napełniacie wszystko miłością i dobrem. A iże kocham was—na znak, na potwierdzenie mych słów-oddaję się Wam cały, bez reszty — wtapiam się w Naturę — ona jest we mnie a ja w Niej.

St. Pagaczewski.

„Nostalgja“

Popłynę po zieleni morza
owiany nostalgją podróży. .
powita mnie zimna podbiegunowa zorza
lub na piaszczystych wybrzeżach uśmiech-
nięty murzyn.

Skłonią mi się palmy wysokie
kołyszące się od wieków tak samo...
i roztoczy się przedemną świat duży,
szeroki
i potarga me włosy szybki, gorący
samum.

na mych ustach słońcem spalonych
pocałunek złoży Hiszpanka...
białe cienie wciąż będą się snuły
po wyciętych z marmuru krużgankach

na me czoło słońcem ogrzane
spadnie śnieg cichą pieszczota
— moje oczy ze szczęścia rozdrgane
na dnie sita szczere zobaczą złoto.

ale wrócę — powrócę z podróży
po zielonym dywanie morza. .
i pożegna mnie wielki uśmiechn ęty mu-
rzyn
i zagaśnie smutna podbiegunowa zorza.

Stanisław Pagaczewski VIIIa.

Przy ognisku.

Zwolna — tarcza słoneczna zanurzyła się za potargane szczyty Gorganów, a ciemna przygniatająca chmura mroku przetoczyła się przez góry, lasy i całą układającą się na wiosenny spoczynek okolicą. Ciemność bewzględna opanowała nasz obóz.

Aż oto — ten wśród zgrubiałych i omszałych konarów, szumiącego »pieśn snu« tysiącwiecznego boru, trysnął mały płomyczek, rozszerzając się szybko w jeden wielki ogień — ognisko. Tryska z trzaskiem w górę ognista mozaika i porwana przez lekki podmuch wiatru znika — uniesiona na skrzydłach Zefiru.

Skwierczy żałośnie mała jodełka, ciśnięta brutalnie na pastwę stujęzycznego płomienia. Skwierczy — żali się że jej młode życie jak sen już minęło.

Nasycony młodem życiem jodły ogień trysnął zwycięsko w górę, rzucił jasny płomień na skupione twarze młodych

bojowników o nowe ideały — harcerzy. Chłód mimo ogniska dawał się już odczuć. Otulony w szeroką pelerynę dawałem upust swoim myślom. Spokój i cisza natury niedoznawana nigdy w mieście, porwała i mnie za sobą. Siedziałem tu między braćmi - harcerzami zasłuchany w ich śpiew. Jak przez mgłę rozróżniałem słowa pieśni.

»Płonie ognisko i szumią knieje,
Drużynowy siadł wśród nas...«

Zastygły rysy młodych rycerzy przyszłości. — Jakaś niewidzialna potęga, wyryła stygmat powagi na ich młodych, obliczach. Dałem się unieść ogólnemu nastrojowi. Marzyłem o bohaterskich czasach przeszłości—a pieśń szła dalej, niesiona na skrzydłach tego samego co i przed laty wichru —

»Opowiada starodawne dzieje,
Bohaterski wskrzesza czas...

Zwolna przeszedłem w dziedzinę marzeń... Znalazłem się wśród tego bohaterskiego czasu. Jak sen, mijały mi przed oczyma duszy, rycerskie postacie naszych przodków. Jak sen, widziałem ich, z ryngrafami na piersiach a z okrzykiem »Jezus—Maria—Józef« idących na krwawe zmaganie z ciemięzcami Ojczyzny i Boga. Jak sen, widziałem ich w imię najświętszych ideałów — ginących.

...Zawisza Czarny... Warneńczyk... Jak sen, widziałem ich gromiących— zwycięskich .. Sobieski... Żółkiewski...

»O wyczynach od kresowych stanic,
O obrońcach naszych polskich granic.«

Szła pieśń dalej...

Widziałem ich jak żywy obraz. Przesunęli się przed mojemi oczyma w blasku i chwale zwycięscy — niezwyciężeni. Widziałem naszych Mohortów, pługiem i krwią własną broniących naszych, Polski granic... Aż oto, obok tych zakutych w ciężkie pancerze, zobaczyłem innych, odzianych w szary mundur, o twarzach skupionych, szli z bagnetem w ręku—szli na okopy — szli i ginęli. I widziałem ich bardzo wielu... Pieśń ustała. Ocknąłem się — ognisko dogasało... I jeszcze, ale już na jawie widziałem w słabych jego blaskach i tych najmłodszych, siedzących ze mną.

Jakieś dziwne — jakieś znajome wydawały mi się ich twarze Przypomniałem sobie. —

Ja widziałem te twarze — widziałem je w moim śnie. To twarze Zawiszów— Sobieskich — Mohortów — to twarze — wreszcie — ostatnich bojowników za najświętrzą sprawę — za Polskę.

R. T. VIII kl.

o—O-o

„O teatrze słów kilka“.

»Nie przez wielkie talenta wielkość scen rozkwita, wielcy sceny ozdobą są nie fundamentem. Tylko mrówcza gromada karna, jednolita, sceny karjatydy jednoczy cementem«.

Jest to jedna zwrotka z wiersza Karola Estreichera »Gwiazda wędrowna«, umieszczonego w zbiorze p.t. «Okruchy Wierszowane« wydanym przez prof. Stanisława Estreichera. Idea tkwiąca w tym wierszu, pokrywa się w zupełności z ideą obecnego dyrektora teatru im. J. Słowackiego — Juljusza Osterwy. P. Osterwa we wywiadzie udzielonym współpracownikowi »Słowa Polskiego» zaznaczył, że zespół powinien pracować razem, a aktora cenić należy nie wyłącznie za jego grę, ale zato, ile się przyczynił dla całości. Skoro wystawia się sztukę dla aktora, traci ona wiele, gdyż główna osoba, główna postać tej sztuki, kreowana przez jakąś znakomitość zaćmiewa i usuwa w cień cały zespół. A że dzieje się to ze szkodą dla całości — niema dwóch słów.

Po upadku zaczyna się renesans teatru

Minęły te czasy, kiedy narzekano, że kino niszczy teatr. Wiemy, że kino na teatr nie wpływa. Kino, to co innego, a teatr co innego. Przyczyn upadku teatru było o wiele więcej: brak dobrych autorów dramatycznych, brak aktorów oraz b. wysokie ceny, uniemożliwiały pomyślny rozwój teatru. Dawano marne sztuki zagraniczne, aktorzy nie wydobywali ze siebie maximum możliwości, gdyż wobec pustej widowni nie opłacało się to.

Pierwszym krokiem w celu spopularyzowania teatru, była wielka obniżka cen. I oto teatr zapełnił się tłumem inteligencji, która dotychczas na taki luksus pozwolić sobie nie mogła. Ale to nie wystarczało. Trzeba było gruntownej przemiany repertuaru. Jedni żądali wyłącznie arcydzieł klasycznych, inni znów gardłowali za przewagą nowoczesnych sztuk i to zagranicznych. Dyr. Osterwa poszedł po linji wypadkowej tych żądań i wprowadził do repertuaru tak klasyków dawniejszych, jak i autorów nowoczesnych, zagranicznych i polskich. Dyr. Osterwa zrozumiał także ogromne pedagogiczne znaczenie przedstawień teatralnych dla młodzieży szkolnej, i stworzył »Teatr szkolny«, będący, niejako uzupełnieniem nauki w klasie. Nie trzeba chyba dodawać, że nowość ta spotkała się z wielkiem uznaniem wśród młodzieży. Stwierdzono, że młodzież natychmiastowo reaguje na słowo płynace ze sceny, że bierze udział w przedstawieniu całą duszą, oraz że, szczerze entuzjazmuje się, Ci, którzy teraz zapełniają teatr na przedstawieniach szkolnych, będą w przyszłości zapalonymi jego wielbicielami. To jest idea, jaka przyświecała dyr. Osterwie gdy tworzył »Teatr szkolny«. Wdzięczni też za to jesteśmy — z całego serca składamy Mu podziękowania.

Na tem miejscu chcę zachęcić wszystkich kolegów aby nie poprzestawali, na teatrze szkolnym, ale ażeby w miarę wszelkich możliwości starali się uczęszczać do teatru na inne sztuki. Ograniczone ramy szkolnego teatru (5 — 7 przedstawień na rok szkolny), nie dozwalają na rozszerzenie repertuaru. W zeszłym roku widzieliśmy »Wesele» St. Wyspiańskiego, «Fircyka w zalotach« Zabłockiego, »Zemstę« Fredry, «Wieczór trzech króli» Szekspira, «Fantazego» oraz »Horsztyńskiego» J. Słowackiego.

W tym roku zobaczyliśmy «Mazepę» Słowackiego. (patrz: Kronika »Mazepa na szkolnem przedstawieniu»)

W każdym numerze »Zewu«, ukazywać się będą sprawozdania z przedstawień szkolnych. Prosimy wszystkich, którzy się teatrem zajmują, o nadsyłanie sprawozdań na ręce redakcji.

Zapewne są tacy, którzy postanowili poświęcić się zawodowi aktorskiemu. Nauczą się oni dużo patrząc na grę znakomitych artystów naszej sceny. Teatr uszlachetnia człowieka. Pracujmy nad nieustannem podnoszeniem naszego poziomu kulturalnego, dążmy wciąż w górę, pomni zasady, że nie twarde mięśnie, i czas 9 sekund na 100 metrów jest naszym celem — ale wysoki poziom duchowy, kulturalny. Pamiętajmy, że Sparta, ów kraj wychowania fizycznego nie dała światu żadnego uczonego ani artysty — natomiast Ateny, które były ośrodkiem helleńskiej kultury, wydały takich filozofów jak Arystoteles, Platon, Epikur — takich poetów jak Homer lub Sofokles i takich rzeźbiarzy jak Fidjasz. A właśnie w Atenach teatr był najważniejszą placówką kulturalną. A jeśli Grek stawał do igrzysk olimpijskich to, nie dlatego, aby być sławnym rekordzistą — tylko ażeby upiększyć linje swego ciała i dać oczom zadowolenie estetyczne.

Poprzyjmy więc wysiłek dyr. Osterwy, zmierzający do postawienia teatru na należnem mu miejscu wśród innych sztuk. Jeśli już nie dla tej idei — to chcćby z wdzięczności za to, co nam dyr. Osterwa dał.

Stanisław Pagaczewski.

o—O—o

Pierwsza wspinaczka.

Przez trzy dni lał niemiłosiernie deszcz. Zrezygnowany chodziłem po »Murowańcu« na Hali Gąsienicowej, szperając po wszystkich kątach, aż zawarłem znajomość z pewnym turystą, doświadczonym taternikiem, który szukał partnera do wspinaczek. Zwrócił się i do mnie, proponując północną ścianę Buczynowej Turni lub Świnicy: pomyślałem sobie »źleś trafił i szybko ostudziłem jego zapał, bo nie miałem kwalifikacji na takie wyprawy. Wobec tego mój znajomy postanowił pokazać mi tajniki wspinaczki i oświadczył gotowość poprowadzenia mnie na grań »Fajek«. Jest to mała grań, w skali tatemickiej dość trudna, między Żółtą Turnią a granatami, na której często stawia się pierwsze kroki wspinaczkowe. Zgodziłem się.

Nazajutrz jakby na zamówienie piękna pogoda: pakuję do plecaka trampki, trochę jedzenia i wyruszamy. Po drodze zapoznaję się z głównemi zasadami asekuracji linowej i patrzę trochę nieufnie na małą, poszarpaną grań. Od Czarnego Stawu pniemy się stromo do góry. Mój towarzysz, pokazując mi groźną, stale mokrą, północną ścianę Koziego Wierchu i opowiadając kto się już na niej zabił, wyciąga syrenę i mówi z największym spokojem »na wszelki wypadek«. Pomyślałem sobie «nie kracz — żeby cię...». Tak dochodzimy na Żółtą przełęcz, pod grań: z jednej strony cała Hala Gąsienicowa z otaczającym ją łańcuchem masywów skalnych, które ponarzynane zaśnieżonemi żlebami mienią się w słońcu, z drugiej Kosista, Orla Baszta, Buczynowe Turnie, a w oddali wyniosłe grzbiety Tatr czeskich.

Zachwyt mój przerywa towarzysz: »ściągać buty i wdziewać trampki«

Chowam więc podkute buty do plecaka, wiążemy się liną i naprzód! Mój towarzysz idzie pierwszy, ja asekuruję i zadaję sobie pytanie poco go ubezpieczam, gdy on niemal spaceruje po grani. Przyjemnie było patrzeć jak zgrabnemi, pewnemi ruchami pokonywał przeszkody. Teraz kolej na mnie. Ostrożnie posuwam się naprzód — cała moja uwaga skupiona jest na tem, aby znaleść dobry uchwyt na ręce, stopień na nogi. Dochodzimy na wąską przełęczkę skalną mój towarzysz odczytuje mi z przewodnika dalszą część opisu drogi. Trzeba zejść z grani skośną rysą, a potem powrócić na grań przez wystający próg i »w decydującym momencie chwyt«. Po chwili pozostaję sam, bo mój przewodnik przeszedłwszy próg znika za nim i widzę tylko linę, która nas wiąże Stoję nad »rysą», nad kilkudziesięciometrową ścianą skalną, wyłożoną u stóp jakby specjalnie kamiennemi płytami «dla wygody P. T. turystów» i jest mi trochę nieswojo.

Odwagi dodaje mi głos towarzysza: powoli spuszczam się rysą i dochodzę do progu. Okraczam go — »w decydującym momencie chwyt« przebiega mi przez myśl, a ja nie mogę na niego natrafić. Wisząc nad przepaścią gorączkowo przesuwam ręką po skale, mięśnie drżą od wysiłku. Wtem słyszę «wdół na lewo»! Jeszcze chwila i jestem obok towarzysza, który ze spokojnym uśmiechem chwalił tę rysę, jako dającą nieco emocji. Drugiem podobnem przejściem była ścianka, na której zaczepiony na rękach, asekurowany od góry, nie mogłem znaleść początkowo oparcia dla nóg. Wreszcie stoimy przy końcu grani, opadającej na przełęcz Pańszczycką kilkumetrowym pionowym wskokiem, który pokonuje się zapomocą zjazdu na linie. Mój towarzysz zaznajomiwszy mnie z t. zw. kluczem, umożliwiającym zjazd, zaczepił linę w połowie jej długości o wystającą część grani i do końca zwiesił w dół. »Klucz» okazał się

pierwszorzędnym wynalazkiem albowiem powoli i spokojnie, zjechałem na dwóch końcach na przełęcz. Grań była zrobiona, zzwinęliśmy linę, przebraliśmy buty i po siliwszy się udaliśmy się na Granaty.

Kag.

Apel do Czytelników „Zewu“.

Bez przesady możnaby zaryzykować u nas twierdzenie że tylu jest krytyków ilu ludzi. Prawie wszyscy cierpią na manję krytykowania, wszystkim zdaje się że właśnie oni są powołani do naprawy świata.

Chcąc coś zdziałać, trzeba przedrzeć się zwycięsko przez tłuszczę domorosłych krytyków, którzy paraliżują każde poczynania i jadowitym sokiem swej krytyki niszczą wszystko. Tylko nikt tego nie chce słuchać że łatwiej jest krytykować niż coś robić.

Niechby taki »znawca« jeden z drugim zabrał się do roboty. Ślicznie by wszystko wyglądało. Z drugiej jednak strony krytyka jest pożądaną — ale krytyka rzeczowa i poważna. Redakcja »Zewu« uznając doniosłość poważnej krytyki prosi czytelników o nadsyłanie na jej ręce uwag, zażaleń, projektów itp. dając w zamian pełną gwarancję że głosy te będą brane natychmiastowo pod rozwagę. Naturalnie z góry zaznaczamy że na niekulturalne uwagi odpowiadać nie będziemy. Listy do redakcji mogą być podpisane nazwiskiem, ale również mogą być anonimowe.

Redakcja.

Ranek na morzu.

Są ludzie, którzy wyszedłszy o świcie
widzą nietylko lśniące słońcem morze,
lecz widzą, czują, że różowe zorze
przynoszą człowiekowi jakieś inne życie

Że jasne słońce blaskiem swym wyzłaca
wszystko co w życiu naszem jest przyziemne
i to co w duszy kryje się tajemne
i to co serce czcią wielką otacza.

Bo kto dobrze zrozumiał i odczuł zew dali
i raz tylko się puścił na pływaczkę morską —
Gdy wrócił to nie upadł pod najcięższą troską
Bo żył ciągle wspomnieniem kołysania fali.

A gdy statek twój płynie w poświacie poranka
ujrzysz przepiękny błękit tkany promieniami...
Pomyślisz: jakże cudną jest morska pływanka
pomiędzy niebem, ziemią i świata brzegami.

Lesław Petecki.

Piętnaście lat temu.

Dzwony biją radosne. Głośniej biją nasze serca. Na firnamencie dziejów jarzy się liczba 15. Zrozumcie: Pietnaście lat niepodległości. Jak sen rozkoszny upaja nas ta pietnastka. Wspomnijmy jednak tych, którzy wymodlili tę Polskę — tych, którzy ginęli za nią, a po których jedyną pozostałością są wiersze, pisane nieraz w okopach przy żółtem świetle łojówki. Poniżej zamieszczony jest piękny wiersz Tadeusza Piotrowskiego.

Piotrowski Tadeusz (Świerk Kazimierz).

ROKITNA.

Rozkaz padł... I stanęła szara ćma w szeregu.
Błyska stal. Już pędzą!.. Po kwiecistej błoni
miga się huf straceńców rozpętany w biegu,
śmierć przed nimi — w nich gromy — a wicher
ich goni!

Jezus, Marja! Dopadli... Już pierwsze okopy
zniknęły pod kopytem. Wichura rwie dalej,
niepomna, że śmierć żniwa swego zbiera snopy.
Już drugi okop tonie w szarej jeźdźców fali...

. . . .

Przed ułana polskiego skłoń się majestatatem:
gdzie czwartego okopu szarzeją się smugi
dojdź po trupach święconych polskiej krwi szkarłatem!
Sześciu doszło! Ułanów polskich szwadron drugi!

Zastanówmy się chwilę nad tem bohaterstwem. Schylmy przed nim głowy — a serca nasze niech dziękują tym, którzy wywalczyli Wolność:

Ale nietylko były momenty radosne. Oto wiersz tego samego autora:

PIECHUROWI.

Pod lasem na szarej grzędzie
legł sobie w krwawej koszuli,
nikt po nim płakać nie będzie,
ziemia go jeno otuli
rodzona. — — —

Nie walczył ci on w Legionie,
w zwyczajnym walczył szeregu,
nie polskie wzniosą mu dłonie
mogiłę na leśnym brzegu
gdy skona. — — —

Nikt o nim wiedzieć nie będzie
o szarym tym żołnierzyku,
nikt liczyć grzędy po grzędzie,
których tam z rokiem przybędzie
bez liku — —

Na szarych cmentarzach wojennych, nie zapłonęły światła w Zaduszki.

Kronika.

Początek roku szkolnego w naszym zakładzie.

Dnia 20. VIII. 1933 o godzinie 8.45 zgromadziliśmy się przed gmachem zakładu. Przy dźwiękach orkiestry, udaliśmy się pochodem do kościoła św. Anny na uroczystą mszę św., którą odprawił ks. prof. dr. Józef Rychlicki. Po skończonej mszy św. powróciliśmy na ul. Krupniczą, skąd rozeszliśmy się do domów. Nazajutrz rozpoczęła się normalna nauka.

Samorząd gimnazjum IV go (359) imienia H. Sienkiewicza, subskrybował na rzecz Pożyczki Narodowej sumę 50 zł. Zaznaczyć trzeba że akcja składkowa udała się nadzwyczajnie. Był to pewnego rodzaju szlachetny wyścig międzyklasowy.

W uroczystościach ku czci Jana III. Sobieskiego, jakie odbyły się w dniach 5 i 6 b. m. w Krakowie, zakład nasz wziął żywy udział. Dnia 5. b.m w czasie przyjazdu Głowy Państwa Prezydenta Ignacego Mościckiego — młodzież naszego gimnazjum trzymała szpaler opodal kościoła św. Idziego na ulicy Grodzkiej. W oknach budynku szkolnego widniały wspaniałe transparenty a zakład nasz był częściowo iluminowany. Dnia 6. b. m. braliśmy udział w »Święcie kawalerji« w wskutek czego dzień był wolny od nauki.

»Mazepa« na przedstawieniu szkolnem: Dnia 2. X. 1933 udaliśmy się na przedstawienie teatralne, wchodzące w skład »teatru szkolnego«. Zobaczyliśmy wspaniały dramat Juljusza Słowackiego »Mazepa« z dyr. Osterwą w roli tytułowej, z J. Karbowskim, w roli króla Jana Kazimierza oraz Krystyną Ankwicz Szyjkowską, Zastrzeżyńskim i Nowakowskim. Fenomenalna gra dyr. Osterwy porwała widzów. Zainteresowanie widowni skupiło się głównie na Karbowskim i Osterwie. Karbowski w swej znakomitej interpretacji roli króla Jana Kazimierza, był wzorem dla początkujących aktorów, a dyr. Osterwa ulubieniec młodzieży, porwał ją swym zapałem oraz szczerością i prawdziwem przeżywaniem swej roli.

»Śluby panieńskie« Fredry na przedstawieniu szkolnem. Dnia 27 października udaliśmy się do teatru im. Juljusza Słowackiego na przedstawienie doskonałej komedji Al. Fredry p. t »Śluby Panieńskie czyli magnetyzm serca«.

Urok wionący od sceny opanował wszystkich. Jest to komedja tak miła i tak beztroska że śmiało może być zaliczona do najlepszych polskich komedyj. Doskonały był pan Solarski w roli Gustawa — a pan Hierowski wycieniował swojego Albina do ostateczności i stworzył naprawdę cacko. Pani Barbara Ludwiżanka oczarowała widownię jak zwykle.

Dnia 7. X 1933 w sali Bolońskiego, odbyła się przemiła rewja urządzona przez żeńskie gimnazjum państwowe im królowej Wandy. Na przeciąg dwóch

godzin, zapomnieli widzowie o kłopotach i zmartwieniach. Wszystkie numer, rewji nagrodzono burzliwemi oklaskami. Nie będzie od rzeczy przytoczyć tu jeden wierszyk wygłoszony przez »uczennicę która zryła«

»Znowu nie umiałam pięciu traktatów — jednego kongresu
cosinus funkcji źle narysowałam
nie utworzyłam od alfa limesu
a że Bałtyckie nie jest w Azji morze
Smutno mi Boże

Czyż wiersz ten nie chwyta za serce? Jaka głębia nieszczęścia. Krzyk zrozpaczonego serca! Numer ten oklaskiwano najgoręcej. Chciałoby się i inne wierszyki tu przytoczyć — no, ale niemą miejsca, (s)

Kasa oszczędności gimnaz u n naszego będąca pod opieką p. prof Jodłowskiego subskrybowała na Pożyczkę Narodową kwotę 50 zł. - W miesiącu wrześniu pierwsze miejsce w składan u oszczędności zajęła klasa VIII a, zdobywając tem samem nagr dę prze hodnią, pr - porzec.

Drugie miejsce zajęła klasa VII b, zaoszczędzając kwotę 95 zł 80 gr.

Ogólna suma oszczędności za ubiegły miesiąc wynosi 356 zł. 30 gr. (L)

Dnia 22 i 23 września b. r. zwiedzała Kraków olbrzymia wycieczka mł dzieży szkolnej (około 500 osób) z Wielkopolski. Wycieczka ta powracała z uroczystości ku czci Jana III Sobieskiego ze Lwowa.

Z zakładu naszego koledzy W. Kowalski Zb. Pankiewicz, Z. Walenta, R. Koczur, T. Gütner zajęli się oprowadzaniem tejże wycieczki. Nasz stary Kraków wywarł na uczestnikach wycieczki niezatarte wrażenie, to też z żalem opuszczali Jego mury. (L)

W następym numerze »**Z e w u**« ogłoszony zostanie konkurs na znajomość literatury polskiej. Ponadto rozszerzony zostanie dział rozrywek umysłowych. Tak więc każdy znajdzie w «Zewie« coś dla siebie. Dla biorących udział w konkursie znajomości literatu y, przeznaczone są dwie wartościowe nagrody.

24. IX 1930 to jest w niedzielę, po nabożeństwie, w sali klasy VIII a, odbyło się »zebranie dyskusyjne« »Z e w u« w obecności p. Dyr. M. Chojny, który raczył wypowiedzieć się w sprawie pisma »Zew. Potem nawiązała się dyskusja.

W ostatnich dniach września, na rękawach wszystkich uczniów (tak u płaszczy jak i ubrań pojawiły się tarcze z numerem szkoły (359)

Numer październikowy (1) pisma Sodalicyj Marjańskich uczniów szkół średnich ,Pod Znakiem Marji', przynosi ciekawy artykuł ks. J. Winkowskiego p.t. »W 250 rocznicę wiedeńskiej wiktorji«. Autor kładzie nacisk na piękny charakter króla Jana III oraz na jego religijność.

Dalej spotykamy nowe hasło na rok 1933 4 — »Bądź pracowitym«,

Szereg ciekawych artykułów z dziedziny życia katolickiego oraz obszerne sprawozdania i kartka ilustracyj, dopełniają numeru.

Dnia 20. X. 1933 jako w dzień patrona młodzieży męskiej św. Jana Kantego, udaliśmy się na mszę św. do kościoła św. Anny. Po mszy św. w gmachu gimnazjum, odbył się poranek ku czci królów: Jana III Sobieskiego oraz Stefana Batorego. Dzień był wolny od nauki.

W dniach 10 i 11 XI. 1933 cała Polska obchodziła uroczyście 15 letnią rocznicę odzyskania niepodległości. Zakład nasz brał w tych uroczystościach b. żywy udział. Okna zakładu były udekorowane pięknemi podobiznami prez. I. Mościckiego oraz Józefa Piłsudskiego. Na Wawelu przemawiał uczeń zakładu — Walenta.

Orkiestra nasza brała udział w capstrzyku.

Rozrywki umysłowe.

Jaki jest zawód tego pana | T. NADESYT |

Jaki jest zawód tego pana | FR. GAFOTO |

oraz panów:

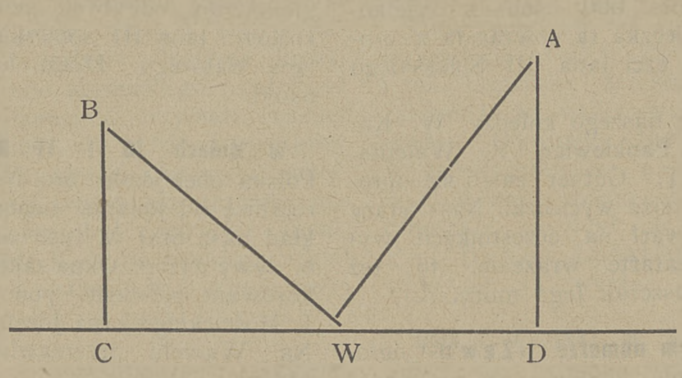
| L. TARETI | | MR. ISTENI |

Kącik matematyczny.

(pod redakcją kol. Andrzeja Bylickiego VIIIa).

1.

1) Pomiędzy dwoma wieżami znajduje się wodotrysk (w). Wysokość wież wynosi 30 (BC) i 40 (AD) m., a ich odległość od siebie (DC) 50 m. Ze szczytów obu wież wylatują ku wodotryskowi jednocześnie dwa ptaki, lecące z jednakową szybkością. Jaka jest odległość wodotrysku od obu wież i jaką drogę przebywają ptaki.



II.

Liczba uczniów wyznania mojżeszowego w klasie wynosi 22; 58% ogólnej liczby uczniów. Ilu uczniów jest w klasie?

III.

Trzy zegary nastawiono na godzinę 12-ą i puszczono w ruch Jeden z nich spaźnia na dobę 10 m. Drugi spieszy 12 minut; Trzeci zaś idzie dobrze. Po jakim czasie wszystkie trzy zegary wskażą znowu jedną i tę samą godzinę?

IV.

Motocykl o stałej prędkości 25 m|sek. wyjechał w 15 minut po automobilu o stałej prędkości 72 km|godz. Kiedy i na jakim kilometrze go doścignie?

Ciekawostki matematyczne.

Łatwy i praktyczny sposób podnoszenia liczb wielocyfrowych do kwadratu. Przykład: Chcemy podnieść do kwadratu liczbę 21908.

```
        1
0 4 0 1 8 1 0 0 6 4
  0 4 1 8 0 0 0 0
    3 6 0 0 4 4
      0 0 1 6
        3 2
-------------------
  4 7 9 9 6 0 4 6 4
```

Pytanie jest: w jaki sposób podniesiono tę liczbę do kwadratu?

Rozwiązania należy nadsyłać na ręce redakcji dla kolegi A. Bylickiego VIIIa.

Zagadnienia II i III wzięto z czasopisma matematycznego »Parametr«.

Ważniejsze rocznice historyczne

w listopadzie i grudniu 1933 r.

1) *20. XI. 1648.* Prymas ogłasza Jana Kazimierza królem polskim.

2) *25. XI. 1764.* Ostatnia koronacja w niepodległej Polsce.

3) *26. XI. 1335.* Wyrok Karola, króla Węgier i Jana, któla Czech w Wyszechradzie w sprawie Pomorza, niekorzystny dla Polski.

4) *26. XI. 1855.* Zgon Adama Mickiewicza.

5) *27. XI. 1907.* Zgon Stanisława Wyspiańskiego.

6) *29. XI. 1830.* Wybuch powstania listopadowego.

7) *30. XI. 1808.* Szarża pod Sammo-Sierrą.

8) *2. XII. 1872.* Zgon Wincente-Pola.

(dokończenie na str. 32.)

Organizacje uczniowskie w naszym zakładzie. Stan z dnia 15. XI. 1933.

1) Samorząd szkolny uczniów gimnazjum IV-ego im. H. Sienkiewicza w Krakowie. 2) Sodalicja Marjańska pod wezwaniem św. Stanisława Kostki. 3) Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej. (L.O.P.P.) 4) Koło Ligi Morskiej i Kolonialnej im. Władysława IV-ego. 5) Koło Sportowe uczniów gimn. IV-ego. 6) Koło Krajoznawcze 7) Kółko filologiczne. 8) Koło Literacko-Dramatyczne. 9) Kółko historyczne. 10) Kółko literackie. 11) Kółko romanistyczne. 12) Kółko fizyczne. 13) Kółko matematyczne.

Wszystkie te organizacje działają sprawnie na terenie naszego Zakładu, urządzając regularnie zebrania, dyskusje i najrozmaitsze imprezy. Najbardziej sprężys ą organizacją, jest Samorząd szkolny — po nim zajmuje miejsce Sodalicja Marjańska, następnie L.O.P.P. oraz Koło Ligi Morskiej i Kolonjalnej. Bliższe szczegóły co do pracy tych organizacyj, znajdzie Czytelnik w XV-tem Sprawozdaniu Dyrekcji Państwowego Gimnazjum IV-ego w Krakowie, za rok 1932/33.

Czasopismo »Zew« wychodzi raz na dwa miesiące. Wydawnictwo »Samorządu Szkol.« przy Państw. Gimnazj. IV. w Krakowie, ul. Krupnicza 2. Pismo redaguje Komitet Red. pod kierownictwem prof. Dr. Adama Znamirowskiego.
Red. St. Pagaczewski i T. Ogorzały.—Druk. »Rekord« w Krakowie.

HUMOR.

NA LEKCJI: Profesor egzaminuje ucznia z matematyki. Pyta się go co wie o radjanie. Pomaga mu: »no — przypomnij sobie, radjan. .
UCZEŃ: Już wiem! Sam pierze.

DOŚWIADCZONY. Na lekcji języka polskiego, profesor wykłada: w czasach romantyzmu, przerwanie schadzki kochankom, było zbrodnią...
GŁOS z ŁAWKI: »Naturalnie«...

---

9) *8. XII. 1506.* Zygmunt I Stary wybrany królem polskim.
10) *12. XII. 1586.* Zgon Stefana Batorego w Grodnie.
11) *16. XII. 1672.* Zgon Jana Kazimierza we Francji.
12) *18/19. XII. 1806.* Przyjazd Napoleona do Warszawy.
13) *27. XII. 1587.* Koronacja Zygmunta III Wazy.
14) *27. XII. 1655.* Ustąpienie Szwedów z pod Częstochowy.

SPIS RZECZY.